

DODATEK MIESIĘCZNY DO «POLAKA»

B.D.I.C

SKARBIEC

PARYŻ

N^o 4 — Sierpień 1918 r.

PUBLICATION MENSUELLE

Administracja : 5, rue Godot-de-Mauroy — Paryż



DODATEK MIESIĘCZNY DO «POLAKA»

B.D.I.C

SKARBIEC

PARYŻ

N° 4 — Sierpień 1918 r.

PUBLICATION MENSUELLE

Administracja : 5, rue Godot-de-Mauroy — Paryż



POLSCY OFICEROWIE

Powstające zwolna w ciągu tej wojny młode wojsko polskie jest zjawiskiem nowem, którego losy i charakter naród śledzi z miłością, ale i z niepokojem, jak gdyby chciał z nich przyszłość swoją czytać. Powstaje ono w Polsce, w Rosji, w Ameryce, we Francji, powstaje z różnorodnych żywiołów i wśród rozmaitych warunków, powstaje pośród nieopisanych trudności i przeszkód, zawodów i ofiar. Co raz żyć przestało, nie łatwo zmartwychwstaje. Ale powstaje wojsko polskie; istnieje już, żyje, wzmagą się, a poświęceniem swych żołnierzy, czynami swych oficerów, stwierdza nierozzerwalny związek z przeszłością, gotowość na cierpienia i na śmierć, za świętą Polakowi sprawę.

Przeszło milion Polaków walczy i dziś jeszcze poza polskiem wojskiem. Oprócz tych nieszczęśliwych, którzy muszą ginąć w armjach wrogów, gnani jak niewolnicy przez Niemców i Austryjaków, biją się setki tysięcy Polaków w szeregach amerykańskich i kanadyjskich. Ci ostatni walczą za sprawę Aljantów, a więc i za sprawę polską, ale spoglądają z tęsknotą ku swym mniej licznym towarzyszom, którym wolno już dzisiaj stać pod własnym znakiem

Orla Białego i świadczyć krwią o wierności i miłości dla Polski.

Żołnierz polski wie za co i dlaczego się bije. Jest on ochotnikiem, który z własnej woli poniósł swe życie na ofiarę Ojczyźnie. Wierzy on w świetną Jej przyszłość, wie, że jeżeli zginie, imię jego zostanie we wdzięcznej pamięci przyszłych, szczęśliwych pokoleń, a dzisiaj, gdy pogodnie znosi trudy i niewygody, ma tę pociechę, że się znajduje wśród braci, że słyszy dokoła siebie dźwięk polskiej mowy; że słucha polskiej komendy. Oficerowie polscy dumni są, że są pierwszymi, którym w walce o niepodległość i zjednoczenie Ojczyzny danem było odnowić dawne świetne tradycje, czują odpowiedzialność wobec narodu za powierzonego sobie żołnierza, za wzorowe spełnienie obowiązku, za honor polskiego wojska i jego wysoki poziom duchowy. Że tak myślą i czują, tego, choć dzieje polskiego wojska tak jeszcze świeże, składają liczne dowody.

Oto sylwetki polskich oficerów :

PORUCZNIK CHWAŁKOWSKI.

W lipcu 1918 r., w czasie ofensywy niemieckiej we Francji i późniejszej kontrofensywy francuskiej, kilku oficerów polskich poniosło śmierć na polu bitwy. Pierwszym z nich był młody porucznik, ś. p. Lucjan Chwałkowzki, jeden z tych wielu, którzy w wolnej i szczęśliwej Ameryce zaciągnęli się do polskiego wojska, aby walczyć i ginąć za daleką i nieznaną Ojczyznę. W nocy z 9 na 10 lipca brał on udział w wycieczce ochotników na linię niemiecką. Pocisk niemiecki oderwał mu ramię. Padając śmiertelnie raniony, zdołał zawołać : *To dla Polski!* Proste sło-

wa, — trudno o wymowniejsze. Ten okrzyk z głębin duszy, w chwili śmierci, powiedział wszystko. Był on wyrazem myśli i uczuć i woli nietylko tego, który go wydał, ale i całej tej młodzieży, która przybiegła z za morza świadczyć ofiarę życia o nigdy nieprzedawnionych prawach Polski do swych synów, a i tych drugich, urodzonych w Polsce, którzy idą zaglądać w oczy śmierci nie po raz pierwszy — pewni zemsty wroga nietylko nad sobą, ale i nad rodzinami, pozostałymi w jego mocy. To dla Polski... Słowa młodego porucznika stają się symbolem jego pokolenia, łączącego się krwią z pokoleniami które je poprzedziły. Nie przebrzmia one i zapiszą imię Chwałkowskiego w księgach narodowej chwały i zasługi. Oby nam każdej chwili, a zwłaszcza w chwilach trudu, cierpień i zwątpienia stały na myśli słowa, które wyrzekł pierwszy poległy oficer polskiego wojska: « To dla Polski ».

KAPITAN GÓRECKI.

W mieście węgierskiem Marmarosz-Sziget sądzą sędziowie austriacy polskich oficerów i żołnierzy, sądzą ich i prawdopodobnie skazą za wierność Polsce. Głównym oskarżonym jest młody oficer: Kapitan Roman Górecki, doktor praw, urzędnik sądowy ze Lwowa, który zaraz z wybuchem wojny wstąpił do Legjonów, jako prosty żołnierz. Wykazawszy wybitne zdolności administracyjne, został z czasem szefem intendenty w brygadzie Hallera. Gdy brygada postanowiła po traktacie brzeskim przebić się przez linię austriacką, ażeby się połączyć z polskiem wojskiem gen. Muśnickiego, Kapitan Górecki był jednym z głównych organizatorów tego trudnego przed-

siewzięcia. Nietylko przygotowywał jego stronę gospodarczą, ale silną wolą i gorącym słowem oddziaływał na towarzyszków, wreszcie kierował wymarszem taboru brygady. Austriacy, niezbyt pochopni do stoczenia z brygadą decydującej bitwy, stawili jej głównym siłom słaby tylko opór, natomiast ogień swej artylerji skierowali na tabór, który, odciawszy go od reszty sił, otoczyli i po krótkiej walce, z łatwością wzięli do niewoli. Oficerów i część żołnierzy zamknięto w obozach jeńców w Huszt, resztę wysłano na front włoski, a nawet do Palestyny. Kapitan Górecki został uwięziony wraz z innymi w warunkach tak strasznych, jakie istnieją tylko w osławionych już w całym świecie austriackich obozach jeńców. Głód i wszelkie cierpienia znosił mężnie, a list który wysłał z więzienia zawierał słowa: « Tylko przez kilka godzin czułem się prawdziwie polskim żołnierzem, ale za to warto oddać wszystko ».

Twardy swój los znoszą ci polscy męczennicy już prawie pół roku czekając na wyrok wroga. Społeczeństwo, nie mogąc znieść myśli o ich cierpieniach, rozpoczęło wszechstronne starania, ażeby ulżyć ich doli. Postowie polscy w Wiedniu poczynili w tym kierunku jaknajenergiczniejsze kroki, stawiając uwolnienie jeńców z Huszt i przynajmniej polepszenie ich losu, jako jedno z ich politycznych zadań.

Przeciwko tym staraniom kapitan Górecki wystosował wraz ze swymi towarzyszami niewoli dwa listy, które, jako wyraz poziomu duchowego tych młodych Polaków, przejdą do historii. Pierwszy adresowany do społeczeństwa polskiego, nosi datę 10 marca 1918 r., a podpisany jest przez uwięzionych oficerów; drugi, od oficerów i żołnierzy, wy-

slany, został 1 marca pod adresem Prezydjum Koła Polskiego w Wiedniu.

W pierwszym liście czytamy między innymi: « Świadomi byliśmy konsekwencji, jakie część oficerów i żołnierzy ponieść będzie musiała. Więc jesteśmy na wszystko przygotowani, gdyż nie masz akcji wojskowej bez oficerów, ani idei bez poświęcenia. Zanosimy tedy gorącą we własnym i żołnierzy naszych imieniu, prośbę, by otaczające nas takim ciepłem i materialną pomocą społeczeństwo, w zrozumieniu całej wagi naszych słów, zaniechało wywierania jakiegokolwiek nacisku w sprawie naszej na polskie koła, które ustępstwa w naszej sprawie, wbrew intencjom naszym, jedynie z uszczerbkiem interesów narodu polskiego i ze stępieniem ostrza walki o jego słuszne prawa są w stanie uzyskać. »

W liście drugim znajdujemy następujący ustęp: « Postanowienie nasze było wynikiem głębokiej rozważagi, nikt na pardon nie liczył, ani się o wyrozumiałość w razie przegranej prosić nie zamierzał; byliśmy świadomem ogniwem narodowego odruchu na gwałt, a jako doświadczeni w boju zajęliśmy należny nam odcinek narodowego frontu bojowego. Dochodzą nas lęk budzące wieści, że troska o nasz los w niewoli gotowa osłabić imponujący opór i zdecydowane stanowisko oficjalnej reprezentacji polskiej wobec rządów mocarstw zabornych; grozi podobno niebezpieczeństwo, że koła polskie za lekkie rozluźnienie naszej obrony, mogą być zniewolone do obniżenia rozmachu opozycji i do zgody na ustępstwa w zakresie ogólnonarodowej polityki. Wielce sobie cenimy miłość rodaków i głęboko nas wzruszyła pamięć ofiarna kraju o nas, jednak przeciwko ulgom

i koncesjom, zdobytym dla nas kosztem kraju ustępstwami w dziedzinie obwieszonych praw narodu, pragniemy zastrzec się jak najenergiczniej... Nie należy krzywdzić nas darami, wymagającymi zbyt kosztownych rekompensat, los nasz osobisty niechaj nie osłabia zwartego frontu polskiego, wyroki i kara tylko fizycznie dotknąć nas mogą; dziadów i ojców naszych narodową powinność więzienną kontynuować będziemy bez żalu i urazy, z głębokiem przeświadczeniem, że *Wolnej i Zjednoczonej i Niepodległej służymy Ojczyźnie. Jej wyrok odmierzy nam wszystkim sprawiedliwość*; tego sądu oczekujemy z ufnością. »

Oficerowie i żołnierze polscy więzieni w Huszt, których pisma są czynem obywatelskim dużej miary, przemówili także imieniem swego pokolenia. W słowach kapitana Góreckiego i jego towarzyszy łączy się to pokolenie z temi, które je poprzedziły, nie tylko ofiarą krwi, ale i chętną gotowością do wszelkich dobrowolnych ofiar, do długich cierpień więzienia i głodu, znoszonych cierpliwie. *To dla Polski!* Dla niej gorzkie smakują trucizny. *Jej tylko wyrok zdolny odmierzyć sprawiedliwość.* Czyż inaczej czuli ci, co woleli umierać w kopalniach Sybiru, aniżeli podpisać prośbę o ulaskawienie, którąby cara uznali swym panem?

GENERAŁ HALLER.

W połowie lipca 1918 r. przybył do Paryża generał Józef Haller.

Należy on do tych Polaków, którzy tak jak gen. Jan Henryk Dąbrowski, naukę wojskową i doświadczenie wojenne, zdobyte w obcej armji, zużytkowali dla Polski. Przed wojną wychowaniec Wojennej

Akademji Wojskowej, oficer zawodowy, austriacki kapitan artylerji, wreszcie instruktor polskich drużyn Sokolich i Strzeleckich. Podczas wojny komendant wschodnio-galiccyjskiego Legjonu, potem 2-jej brygady w jej walkach, czy to karpaccich, czy nad Stochodem, współpracownik Józefa Piłsudskiego. Wytrwał w Legjonie dłużej, niż jego twórca, który wobec doznanych zawodów, spostrzegłszy beznadziejność kombinacji politycznej, będącej podstawą jego działania, wycofał z Legjonów stworzoną przez siebie Polską Organizację Wojskową, wkrótce zaś potem został uwięziony przez Niemców.

B.D.I.C

Trzymając się dalej od polityki, gen. Haller dłużej pełnił podjęte obowiązki wojskowe, choć z pewnością w niemałej duchowej rozterce. Usiłowania swe poświęcił jaknajlepsze mu wykszoleniu podwładnego sobie wojska i utrzymaniu w niem wysokiego poziomu narodowego ducha. Ci, co podpisali listy z Huszt, to jego podwładni i wychowankowie.

Przez pierwsze lata wojny walczył przeciw Rosji, która aż do chwili rewolucji bezwzględny wrogiem Polski pozostała. W czasie rewolucji rosyjskiej wiedział, że Rosja, jako wróg Polski, istnieć przestała, że więc znikł ostatni powód, który mógł skłaniać Polaka do walki po stronie państw centralnych. Wiedział o tem i czekał chwili odpowiedniej, aby móc zerwać nienawistne węzły i zwrócić się przeciw głównemu, a odtąd jedynemu wrogowi Polski. Gdy ta sposobność po traktacie brzeskim w lutym 1918 roku nadeszła, nie zwłóknął ani chwili z decyzją i wtedy mógł zebrać plon swoich prac poprzednich, bo wojsko, którego posiadał miłość i szacunek, jak

jeden mąż, poszło za swym wodzem przeciwko wrogowi, któremu dotąd musiało podlegać.

Na granicy bukowińskiej, po potyczce z Austryjaczami, zdołał się gen. Haller przedrzeć przez ich linje ze znaczną częścią swej brygady i pociągnął za sobą część polskich oddziałów z regularnych wojsk austriackich. Dążył do połączenia się z polskim wojskiem gen. Muśnickiego. Zanim to jednak mogło nastąpić, korpus Muśnickiego został przez Niemców odcięty, otoczony i zmuszony do kapitulacji. Generał Haller, połączywszy się z korpusem gen. Staniewicza, objął wkrótce nad nim dowództwo.

Sily te, w beznadziejnym swoim marszu przez Ukrainę, odcięte od ojezyny, otoczone masą wrogiego ukraińskiego chłopstwa, narażone były w każdej chwili na los wojsk Muśnickiego. Przez półtora miesiąca zagrażał im stale sześćkroć silniejszy korpus niemiecki gen. Eichorna, który nastając coraz bliżej, obsadził przejścia na Dnieprze i postawił wreszcie żądanie kapitulacji. Gen. Haller odmówił, a pomimo że Niemcy cofnęli *ultimatum*, przygotował się do rozprawy. Ta nie dała długo na siebie czekać! Napadnięty zniemacka przez Niemców pod Kaniowem, korpus polski bił się mężnie i dzięki swej artylerji zdołał opierać się sześćkroć silniejszym Niemcom przez 24 godziny i wyrządził im straty dwa razy silniejsze od tych, które sam poniósł. Na 90 zabitych i 300 rannych po stronie polskiej, Niemcy stracili 600 ludzi, oprócz dwóch kompanji wziętych do niewoli. Brak amunicji i przewaga wroga zmuszały do układów. Kapitulację podpisała jednak tylko mała część wojska, osłaniając w ten sposób odwrót sił głównych, które z generałem Hallerem prze-

dostały się za Dniepr i rozłokowane zostały w Rosji. B.D.I.C

General Haller, który w ten sposób po bitwach z Rosją i potyczce z Austriakami, stoczył w końcu bitwę z największym wrogiem: z Niemcami, przedostał się do Moskwy. Stąd datowany jest jego rozkaz mobilizacyjny, wzywający wszystkich wojskowych Polaków w Rosji do walki z odwiecznym wrogiem, rozkaz wspominający Grunwald i powołujący się na deklarację wersalską zachodnich Aljantów. Zamianowawszy swego zastępcę na Rosję i wysławszy misję wojskową na Syberję, śpieszył generał Haller na północ, aby czemprowadzić na okręt do Francji i tu, razem z *Komitetem Narodowym Polskim* zjednoczyć polskie usiłowania wojskowe w jednolitą i jaknajsilniejszą akcję. Po drodze, zorganizował na wybrzeżu Murmańskim polski oddział, który ma być wysłany do Francji. W drodze też otrzymał wiadomość, że Polacy w Rosji, bez różnicy stronnictw, uznają go za naczelnika wojsk polskich na tamtejszym terenie. W piśmie do Rady Regencyjnej w Warszawie, uzasadnił swe działanie, wyjaśniając, że obowiązkiem Polaków jest walka z Niemcami, o ile tylko mają możność jej podjęcia.

Po krótkiej podróży wylądował gen. Haller wraz z towarzyszącymi mu oficerami na gościnnej ziemi francuskiej, na której ma swoją siedzibę *Komitet Narodowy Polski* i gdzie organizuje się *Wojsko Polskie*. *Komitet Narodowy Polski*, któremu przedstawił swe działania i ofiarował dalszą swoją pracę, uznał usiłowania jego za zgodne ze swojemi, powołując go jednomyślnie na swego członka i ofiarowując mu w swoim łonie referat wojskowy. General

studjuje organizację Wojska Polskiego we Francji i stan jego wyćwiczenia, zwiedza obozy, porozumiewa się z dowódcami. Żołnierz polski, poznając go, widzi w nim swe nadzieje, — *Komitet Narodowy Polski* rękojmię sprawności polskiego wojska.

Tak jak żołnierze i oficerowie polscy nawiązali nie snutą przez dawniejsze pokolenia, nie walki i ofiary, tak spodziewają się dziś Polacy, że generał, który kierował już bitwami przeciw trzem wrogom Polski, który pozyskał miłość podwładnych, zdoła wznowić świetną tradycję wodzów z przed stu lat, czczonych i kochanych przez naród. Generałowi, który dał dowody energii i rozwagi, męstwa i karności, danem będzie — da Bóg — i to, czego tamci w końcu nie osiągnęli : *zwycięstwo* !

Stefan ŻEROMSKI

E C H A L E Ś N E

Pan generał Rozłucki siedział uroczyście na stołku składanym. Stołek ów (własność przenośna geometry Knopfa), mieścił się w samym środku dywanu, zdjętego z nad łóżka mojej matki. Po drugiej stronie ogniska, na pniaku, z wzorową starannością zasłanym pledem, w gumowym płaszczu do samej ziemi, niby w ruchomym namiocie, kureczył się i wykrzywiał wzmiankowany wyżej geometra Knopf. Obok niego w rosochatych gałęziach wykrota, przyniesionego przez strzelca, niewygodnie tkwił podleśny Guńkiewicz, piastując z pieczołowitością szklaneczkę araku z dodanymi dla pozorów dwiema łyżeczkami herbaty. Pisarz gminny Olszakowski i stary wójt Gała, z miedziakiem « *za uśmirenje polskiego miateża* », na rudej sukmanie siedzieli obok siebie. Ojciec mój, przywykły na polowaniach do lasu, wpół leżał na ziemi, a niżej podpisany, zaszczycony właśnie « promorą » z klasy drugiej do trzeciej, był wszędzie, gdzie go nie posieli.

Dymisjonowany generał Rozłucki, plenipotent jednego z najbardziej sowiec obdarowanych donatariuszów, zjechał był właśnie do folwarku, od dawien dawna dzierżawionego przez mego ojca ażebym, wskutek wynikłych z «ukazu» zamian gruntów, przyłączyć z lasów rządowych do obszaru dworskiego znaczny płat boru. Odciecie trójkąta leśnego już się prawie dokonało. Geometra Knopf, który od tygodnia «bawił» w domu naszym ku śmiertelnemu wszystkim udreczeniu, wyciął nareszcie «linję», a wynajęci drwale już ją oddawna rąbali w starym, ciemnym lesie. Plenipotent, który również już gościł od trzech dni na folwarku, miał zamiar copędzej oddać ojcu mojemu w obecności władz miejscowych las przyłączyć. Dwie partje chłopów rąbały linję, zbliżając się ku sobie ze stron przeciwległych. Sądono, że uda się sprawę załatwić przed zachodem słońca. Tymczasem noc głucha zapadła, a linja nie była jeszcze doszczętnie wycięta. Generał postanowił bądź co bądź nazajutrz wyjechać. Urzędnicy pragnęli również ukończyć czynność. Zgodzono się tedy, żeby prowadzić robotę nocą, choćby do rana.

Tuż pod lasem rozłożono ognisko. Ze dworu, odległego o jakie dwie wiorsty, przyniesiono kolację — i oto czekaliśmy na ścieganie kilkudziesięciu pozostałych jodeł, bawiąc się w miarę możności.

Wszyscy byli w nienajgorszych humorach. Poczciwy Guńkiiewicz z resztką «pożyczki» na skroniach i brodziną, uczernioną taniem czernidłem, wychlipał już był conajmniej dziewięć szklanek herbaty z arakiem, obawiając się tkliwie, gdym mu nową podawał, czy też aby nie będzie za wiele, «boć to zdaje się już trzecia...» Zapewniałem go ze stanowczością

osoby, która nabyła właśnie wielkiej biegłości w arytmetyce, aż do ułamków dziesiętnych, że «bynajmniej» — więc poddawał się oczywiście, ulegał z pokorą światłu wiedzy i przyjmował nową porcyjkę araku. Pisarz gminny, Olszakowski, znawca wszelkiego rodzaju spraw człowieczych, osobliwie zaś powiatowo-gminnych sposobów piorunującego robienia majątku (za co nawet «cierpiał» już był przez pewien czas w kryminale), genjusz niewątpliwy, który mógłby z powodzeniem piastować urząd ministra spraw wewnętrznych, czy zewnętrznych, a nawet bez żadnego wysiłku te obiedwie godności, notoryczny łapownik, zdzierca chłopów, wyzyskiwacz żydów, najznakomitszy wywijacz prawa i grassant parafjalny, pił mało ze względu na obecność generała i awansował się bardziej w kierunku jadła. Ponieważ jednak w swej wszechwiedzy nie sobie z tego generała nie robił, nie skąpił tedy zebrany pogodnego wesela ducha. Wójt Gała chrupał zuchwami i łykał chyłkiem, co mu się podsunęło; pił zaś bez wstępu, a pomrukiwał wesoło. Widać było, że chętnem i ochotnem sercem spełnia tę służbę państwową na pobrzeżu leśnem, oraz że chwali sobie na ogół dzisiejszą czynność. Nawet Knopf, chodzący katar żołądka (tudzież kiszki), zeschły neurastenik, istota jadająca tylko rzeczy niektóre, lekkostrawne, niekwaśne, suche i to takie właśnie, jakich na wsi zapadłej, a osobliwie w górach świętokrzyskich nikt nigdy, jak świat światem, nie tylko nie jadł, nie widział, ale nawet nie znał z nazwiska — nudziarz, nie sypiający po nocach, nie znoszący piania kogutów, szczekania psów, bełkotu indorów, a nawet gdakania kur — istna plaga egipska dla ludzi zdro-

wych, silnych, gospodarujących w miejscu, gdzie się kochano w psiarni, gdzie kundły, ogary, wyżły, jamniki, i wogóle «pieski» najrozmaitszego wieku nie tylko szczekały i wyły po całych nocach, ale nadto wylegiwały się po kanapach i sofach — gdzie koguty piałły bez przerwy, gdy nie piałły, to ich za to natychmiast zarzynano — nawet, mówię, Knopf był w niezłym tego dnia usposobieniu. Opowiedział zebranym jakąś anekdotkę kwaskowato-dowcipną o swej astrolabji, którą, według opinji złośliwych, ubierał we własne kalosze, spodnie, marynarkę i kapelusz dla ochrony przed deszczem. Puente anegdoty zepsuł, co prawda, podleśny Guńkiewicz przedwczesnym wybuchem śmiechu w miejscu akurat nie zawierającym nic dowcipnego — mimo to jednak Knopf się uśmiechał, co było istnym fenomenem na przestrzeni trzech gubernij i w ciągu kilku lat.

Generał, ramolcio, niezłe zakonserwowany, trzymał się z właściwą powagą. Pisarza i wójta przy tej improwizowanej wieczery prawie nie dostrzegał, znosił jednak bez protestu ich obecność i nie miał przeciwko temu, żeby spożywali z apetytem kurczęta, płaty pieczeni na zimno takiej i owakiej, żeby, przymknawszy oczy, «spuszczali» kielichy «bretnalówki», «zagryzali» rzeczony kielichy szklanicami piwa, a «rozgrzewali się» herbatą z arakiem. Guńkiewicza zaszczycał od czasu do czasu słowem generalskiem, z Knopfem — rozmawiał. Sam jadał zwolna i popijał herbatę. Generał był Polakiem i ostentacyjnie mówił zawsze po polsku, nawet w urzędach. Znać było w jego wymowie pewne zacięcie i akcent rosyjski, ale ów akcent pasował jakos do jego wyniosłej figury, do grubej kurty

szczególne kroju, okrągłej czapki z czerwonym lampasem i niebywalej wielkości daszkiem, do sukiennych kamazów i siwych podkręconych wąsów. Ogień buchał, podsycany przez strzelca. Suchy jałowiec palił się z wesołym trzaskiem. Z lasu leciał po rosie wieczornej łoskot siekier. Łoskot uderzał w lasy, w ogromne świętokrzyskie bory jodłowe, w puszcze wilgotną, senną, niemą, głuchą. Echa ciosów mknęły od góry do góry, od kniei do kniei w dal czarną, w noc, we mgłę. Odbite, wypędzone, dalekie głosy drżały kędyś za światem i zza świata wołały. Przelekle, niewymowne wracały z dali, z moczarów; gdzie nikt nie chodzi, gdzie «straszy».

Co pewien czas rozlegał się wśród stuku siekier jadowity trzask lecącego drzewa, szum i łomot obszaru jego gałęzi, potężny, głuchy grzmot upadku wielkiego pnia. Echo porywało ten głos i niesło w ciemnocną dalekość wieść coraz głuchszą, o tym ciosie przejmujące zwiastowanie... Wszystek las łamał się i rozpadał, huczał wszystkimi drzewami świadectwo niezapomniane i żywym głosem z ciemności wzywał. Wypłynął z zasłon leśnych olbrzymi, czerwony księżyc i wolno szedł wśród ciemnych obłoków. Towarzystwo zebrane przy ognisku zamilkło. Chłód powiał. Mój wierzchowiec (siwa szkapa folwarczna, jasnokoścista półemerytka, której po przyjeździe na wakacje obciąłem był ogon i grzywę, którą torturowałem popręgami starej kulbaki i zmuszałem do zabójczych galopów), stał w pobliżu ogniska. Widać było poczciwy łeb i przednie łopatki, kopyta na emeryturze, a nadewszystko oczy, przedziwnie rozmyślające o płonącym ognisku i o nas, ludziach tam zebranych...

General oddawna postawił szklanę na tacy i siedział wyprostowany, z nogą zgrabnie odstawioną, a piersią wysuniętą. Czasami oglądał się na las. Słuchał, jak echa grają, i znowu ustawiał głowę we właściwej formie.

Rzekł, zwracając się do Guńkiewicza:

— Panie podleśny, a jak daleko z tego oto miejsca do Suchedniowa?

Guńkiewicz postawił szklanę i z należytych pochylem zamaskowanej łysiny oświadczył, że na prostaki nie będzie dziesięciu wiorst.

— A pan tu drogi wszystkie zna?

Guńkiewicz uśmiechnął się z dumą, czy politowaniem. Nie znajdował słowa zbyt dosadnego na wyrażenie tamtejszych wertepów: od lat dwudziestu kilku był podleśnym.

— Tak... — bąknął general w zamyśleniu. — A pan taką drogę zna: od Zagnańska ku Wzdółowi? Była tam przy tej drodze karczma w szczerym lesie...

— Zagoździe — jakże! Stoi.

— Jedna korzenista droga szła stamtąd w kierunku Suchedniowa, a druga, lepsza na Wzdół, na Bodzentyn?

— Tak jest, panie Generale.

— Więc karczma, pan mówisz, stoi?

— Stoi. Najgłówniejsza złodziejska przystań i ucieczka. Z całej korony polskiej koniokradzy tam się właśnie schodzą.

— Przed tą karczmą, za drogą, po drugiej stronie był wydmuch piasku. Duży, żółty...

Na tym wydmuchu rosło kilka brzoź...

— A to general pamięta doskonale! Z tych tam brzoź tylko jedna została. A były tam brzozy — ba

— ba. Karczmarz łajdak je wyciął. Jedna z tych brzoź ostala i to dlatego, że o nią krzyż oparty. Już, szelma, tej tknąć nie śmiał.

— Co za krzyż? Skąd tam krzyż? — żywo spytał Rozłucki.

— A tam krzyż stoi... w tem miejscu...

— Z jakiej racji krzyż w tem miejscu — a?

— Jak to krzyż, panie generale... Ludzie postawią, drudzy czapki uchylają — i tak se ta stoi... Już też i spróchniał od dołu, podparło go się tam z boku dwiema listwami...

— Kto postawił? — nalegał general.

— Prawdę powiedziawszy... — mruknął niewyraźnie Guńkiewicz, uśmiechając się nieśmiało — prawdę powiedziawszy, to ja ten krzyż postawiłem... Drzewa tu mamy w bród. Wzięło się jodłę zdrową, jedrną, wystalą. Obrobił ją do kantu, a nawet tu obecny cieśla, a nasz teraz pan wójt...

— E, niema ta o czem, co ta... — opędział się niechętnie wójt Gała.

— Wpuściło się drzewo w ten piach głęboko, głęboko...

— A dlaczegoż, w tem, właśnie miejscu?

— Dlatego, proszę łaski pana generała, że w tem miejscu leży człowiek pochowany, tam w tej wydmie.

— Człowiek pochowany... — powtórzył general. — A pan tego człowieka znałeś może, co?

— A no, juścić go znałem, bo na takim leśnictwie, jak moje, trudno było nie znać... Lasy wokółusieńko milami. Kto już w te lasy wlaźł, to mojego węgla, a nawet mojego łózka pewno nie ominął.

General zwiesił głowę i przez czas dość długi siedział w milczeniu. Wyjął wreszcie z bocznej kieszen.

srebrną papierośnicę, otworzył ją niepewnymi palcami.

— A wiesz pan, — mówił z zimnym uśmiechem, — że ów człowiek, co tam pochowany leży: to mój rodzony bratanek...

Geometra Knopf, który dotąd siedział bez ruchu, zapatrzony w płomień ogniska z takim zacięciem ust, jakby miał przed sobą coś obmierzłego, rzucił na generała gwałtowne spojrzenie:

— Rymwid?! — zawołał.

Generał zwrócił się ku niemu:

— To właśnie... Rymwid... A i pan coś o tem wiesz...

Knopf wykonał ustami szereg wykrzywień, jakby przed chwilą pił czysty sok cytrynowy, kiwał chudą ręką w rozmaitych kierunkach, mrugał białemi powiekami. Wreszcie wśród najnieznośniejszych dla oka, a obłudnych uśmiechów, mruknął:

— No tak... Rymwid... Rozumie się...

— Rymwid! — powtórzył generał z zaciekłością i szyderstwem. — On, porucznik mojego pułku — Rymwid! « Kapitan »! No i doigrał się...

— Więc to rodzony bratanek... — z trwogą szeptał Guńkiewicz, wybałuszając ogłupiałe oczy.

— Rodzonego brata drugi z rzędu syn, Jan — mówił generał w zadumie. — Brat mój w sebastopolskiej wojnie pod Małachowym Kurhanem sławnie zginął. Generał major, mikołajewskich czasów człowiek. Za węgierską kampanję nagrodzony stopniem, orderami, majątkiem w penzeńskiej gubernji. Na polu bitwy umierając, mnie tych dwóch swoich synów polecił. Jam mu braterskie i żołnierskie słowo dał, że ich na ludzi wychowam, w świat wyprowadzę...

No i dochowałem słowa. I dochowałem... Starszy na Kaukazie służył i tam z cholery umarł w randze sztabskapitana. Piotr, bezzenny. Młodszy, Jan, przy mnie w pułku służył po skończeniu korpusu. Ożenił się młodo z Polką, Plazianką, synka małego miał, kiedy to podle powstanie przyszło. Przyszło to podle powstanie, moi panowie, odkomenderowali... Ja wtedy byłem w randze podpułkownika. Poszliśmy w opoczyńskie...

General zamyslił się głęboko. Knopf skręcił w palcach misternie równego papierosa, wsunął go ostrożnie do cygarniczki i szukał pracowicie węgielka, od którego mógłby zapalić. General czekał, zdawało się na chwilę, kiedy nareszcie zapali, a gdy Knopf zaciągnął się dymem, rzekł :

— No tak. Ten mój bratanek zdradził. Tylko co rozłokowaliśmy się na leżach, uszedł nocą do bandy. Rano jednego dnia raportuje mi kapitan Szczukin, że tak i tak: Jana niema. W kwaterze, gdzieśmy stali, w Sielpi, znaleziono kartkę na stole z zawiadomieniem mnie, jako dowódcy naówczas trzech bataljonów, że «wierny obowiązkowi dla swej ojczyzny» — i tym podobne brednie. Mnie, swego przełożonego i stryja, wzywa, żebym także splamił swój oficerski honor, złamał przysięgę i uciekał za nim do bandy, do lasu. Tak to moi panowie.

Knopf émił swego papierosa uważnie, powoli. Puszczał matematycznie dokładne kółka dymu i śledził je oczyma. Guńkiewicz nie chciał już pić herbaty. Siedział oszołomiony, patrząc w mowę, jak w tęczę...

— Doszły mnie wieści — ciągnął general — że nasz uciekinier jest szefem sztabu w jednej z band.

No dobrze... Po to — mówi do mnie kapitan Szczukiń, dowódca rotty, pod którym mój bratanek służył — po to poszedł. W wojsku służba twarda, ciężka, niewdzięczna, a w bandach służba lżejsza. Tam nasz praporszczyk byłby bez trudu i zachodu kapitanem... O co, jak o co, mówi, ale o awans w tych wojskach polskich nie trudno.

Knopf skończył swego papierosa i śmiał się z dowcipu kapitana Szczukina.

Generał mówił :

— Szliśmy wciąż obławami to za taką partją, to za inną. Co wyjdziem od Końskich w Suchedniowskie lasy, to oni ujdą w głąb, ku Bodzentynowi. My się wrócimy, to ci za nami. Jeden szczególnie wódz, pułkownik czy kapitan, nazwiskiem « Walter » najbardziej nas zwodził. Palił nocą szerokie ogniska, niby to obóz, a sam usuwał się od takiego miejsca dosyć daleko i nocował bez ognia. My ciągniemy obławę, otaczamy cichaczem owe ognie dalekie, napadamy wreszcie nocą — pustka. A on tymczasem na uczyniony hałas podchodzi, jak rabuś, strzela w naszych żołnierzy pod blask ognisk i umyka w knieje. Miał i chłopów zbałamuconych, którzy nas nocą prowadzili na te fałszywe obozy.

Pisarz spojrział na wójta Gałę z podelba i uśmiechnął się niezdrowym śmiechem. Wójt siedział wyprostowany, z oczyma wlepionymi w generała.

— Tak było wielokroć w Samsonowskiem...

— Pod Gozdem... — dorzucił Guńkiewicz.

— A i pod Gozdem...

— Pod Klonowem... — mruknął Knopf.

— Ale przerwała się zabawa — przerwał gene-

rał. — Na raz, na dwa, na trzy wreszcie sztuka się uda, ale nie na zawsze. Zdarzyło się, że szedłem ja na czele sześciu rot od Zagnańska ku Wzdolowi — ot tą drogą na karczmę. Zanocowałem w karczmie, a Szczukina posłałem z rotą na poiski tego Waltera. Do bitwy galgan nie idzie, leży tygodniami w bagnie koło Klenowa, w Bukowej górze — musimy go szukać. Ledwie tej nocy zasnął, budzi mnie adjutant, młody człowiek: strzały gęste w lasach. Ocknąłem się. Las rzeczywiście huczy, huczy... Ot jak teraz. Żal... Serce boli. Posłałem ja drugą rotę na wsparcie Szczukinowi. Nie upłynęło więcej nad dwie godziny, nadsiedli. Wprowadził ich chłop na obozowisko, ale już teraz prawdziwe. Kiedy ich ogarnięto i uderzono bagnietem, większość wybiła się i pierzchła w las, sporo zginęło na miejscu. Szczukin przyprowadził wziętego w *rukopasnom* boju, krótko mówiąc, nie kogo innego, tylko mego bratanka, « Rymwida ».

Miałem ja rozkaz nieodwołalny od mego generała brygady lasy aż po Bodzentyn oczyścić za wszelką cenę — z prawem życia i śmierci. Nie było czasu na wysyłanie jeńców do więzienia w Kielcach, a i siły miałem szczupłe. Oficerowie wzburzeni. We mnie, jako w krewnego, surowym pytającym wzrokiem patrzą. Kazałem złożyć sąd polowy i to natychmiast, bo trzeba było bandę ścigać bez zwłoki. Ja przydujący, kapitan Szczukin i kapitan Fiedotow z prawej strony, porucznik von Tauwetter i feldfelbel Jewsienko — z lewej strony. Zasiadliśmy natychmiast w wielkiej izbie tej karczmy. Łojowa świeca paliła się w lichtarzu... Generał mówił coraz szybciej, niezrozumialej, coraz częściej wtrącał rosyjskie wy-

razy, zwroty, zdania. Poprawił się na krześle i ciągnął :

— Przeprowadzili. Sześciu żołnierzy, on w środku. Mały, wychudły, czarny *oborwaniec*. Włosy *wzjerszone*. Ledwie poznać... Spojrzę ja na niego : Jaś ; rodzonego brata ulubiony syn... Na kolanach wychodowałem... Jakieś na nim gałgany... Twarz przez całą szerokość rozorana bagnetem, sina, zapuchnięta. Jak wprowadzili, tak i stanął przy drzwiach. Czeka. A ty, sędzio, sądz :

— No — tam pytanie urzędowe, formalne : — kto jest ? Milczy. Patrzymy w niego wszyscy. Towarzysz dobry, kolega kochany, dusza-człowiek, oficer pierwszorzędnny. Twarz jego zrobiła się harda, zastygła, skrzywiona od jakiegoś uśmiechu, co tę twarz miłą, dobrą i miękką wykrzywił, podobnie, — ot, jak kowal weźmie i wykrzywi w ogniu raz na zawsze miękkie żelazo w krzywy hak. Ci żołnierze, co go strzegli, to byli razem świadkowie. Zeznają, że go pojмали w lesie, nocą bijącego się z nimi pierś w pierś, zeznają że on i jest ten sam, ich własny porucznik Rozłucki. Sprawa jasna, cóż tu więcej ? Głosować... Wtedy zwraca się do mnie sędzia z prawej strony, kapitan Szczukin, i powiada, że chce jeszcze podsądnemu pytanie zadawać. Cóż, zadawaj. Wstał Szczukin ze swego miejsca, kulakami oparł się z całej mocy na stole, przechylił się przez ten stół ku niemu. Żyły mu na czele wylazły, twarz zczerniała, jak ziemia. Oczy wlepił w winowajcę. Czekamy wszyscy o co go jeszcze będzie badał. Tymczasem ten słowa wypowiedzieć nie może, bo człowiek był twardy, nieuczony. Nozdrza mu drgają, brwi się zeszyły. Zaczął wreszcie walić kulakiem w stół i wołać ku podsądnemu :

Rozlutki! Ty nie śmiejesz tu przed nami hardo stać! Nie śmiejesz w nas patrzeć takimi oczami! Tyś zaprzysięgał, czy nie? Coś zrobił z twoją przysięgą? Odpowiadaj! Przysięgałeś, czy nie?

— Przysięgałem — rzekł.

— Przysięgałeś — jęł znowu krzyknąć Szczukin na całą karczmę, gniotąc stół pięściami — a z tą świętą przysięgą ty coś zrobił? Tyś z szeregu uciekł do wroga. To prawda, czy nie?

— To prawda.

— Razem z innymi zdrajcami swego panującego napadałeś na jego wojsko z zasadki. Prowadziłeś zdrajców, dawałeś im najgubniejsze wskazówki, uczyłeś ich, gdzie i jak uderzać. Ja sam widziałem cię dzisiejszej nocy w bitwie z żołnierzami twej własnej rotty. Ja tu świadczę, że widziałem, jak żołnierz Deniszczuk zranił cię bagnetem. To prawda, czy nie?

— To prawda.

Jeżeli to wszystko prawda, to ty nam, żołnierzom prawym i wiernym w oczy tu mężnym wzrokiem patrzeć nie śmiejesz. Stoisz przed obliczem sprawiedliwego sądu. Twój własny stryj sąd nad tobą sprawuje. Spuść oczy i zniż się, bo ty jesteś zdrajca, nędznik!

On na to rzekł:

— Ja stoje przed sądem Boga. A ty mnie sądz według swojego sądu, jak chcesz.

Szczukin siadł. Głosowanie. Dwa głosy padły za karą natychmiastową — Szczukina i von Tauwettera, dwa za odesłaniem pod konwojem do Kiele. Mnie tedy przyszło przechylić szalę. No i przechyliłem... — mówił cicho, kiwając głową. — Mieli wyprowadzić.

Jewsienko wznosił, że może ostatnie ma życzenie. Dałem głos. Spojrzał wtedy na mnie temi pieczarami oczu, wlepił je we mnie. Staliśmy wszyscy za stołem. On podszedł blisko. Patrzy mi w oczy, ja w jego. Jak dwie lufy pistoletowe przystawił... Pamiętam surowe słowa: — Rozkazuję przed śmiercią, i to jest moja niewzruszona, ostatnia wola, żeby mój mały, sześćioletni syn Piotr był wychowany jako Polak, taki sam, jak ja. Rozkazuję, żeby go uczyć, choćby to było przeciwne sumieniu wychowawcy, jak jego ojciec zrobił wszystko, aż do samego końca. Rozkazuję mu głosem głuchym, żeby pracował dla swej ojczyzny i żeby, jeśli zajdzie potrzeba, umierał dla niej bez jednego drgnienia strachu, bez jednego westchnienia żalu, taksamo, jak i ja. No i wszystko.

Oddał nam cześć po wojskowemu.

Wyprowadzili.

Zaczął się budzić dzień. Poszedłem do alkierza, gdzie tej nocy miał spać. Otwarłem okno. Brzask dnia już się zaczynał. Ranek... Po drugiej stronie drogi sześciu żołnierzy szybko wybierało łopatami dół w piasku. Odszedłem w głąb izby. Odwróciłem się twarzą do ściany... Boże mój... Było już jasno, kiedy wróciłem do okna. Mogłem już widzieć spokojnie. Na kupie piasku, pod strażą dwunastu żołnierzy z karabinami u nogi, bokiem do mnie zwrócony siedział spokojnie. Zdjęto mu już kurtkę powstańczą. Był w koszuli i tę koszulę miał rozerwaną na piersiach. W rękach ściśniętych trzymał między kolanami fotografię syna Piotrusia. Głowa zwieszona, włosy spadły na czoło, oczy w tej fotografii utopione. Zaszedł pluton żołnierzy, należących do jego wła-

snej rotty, zza węgła karczmy. Stał ten pluton naprzeciwko. Von Tauwetter prowadził. Żołnierze — broń u nogi. Stoją. Minęła chwila, druga, trzecia. Czekam. Czekam, żeby Tauwetter dał komendę. Noc, cisza. Tamten siedział wciąż z oczyma w swoim obrazku. Miałem złudzenie, że może już tak, siedząc, umarł. Przez chwilę miałem tę ulgę. Czekam. Aż oto podniósł głowę, jak ciężar tysiącpudowy. Stał na kupie piasku. Nogi mu się zarobiły w sypkiej ziemi, więc się poprawił raz i drugi. Obejrzał się poza siebie, odgarnął włosy z czoła i spojrzał w żołnierzy. No, chwala Bogu, wróciło nań to wykrzywienie twarzy, ta pogarda, co ją miał w sobie na sądzie. Widziałem jak powoli obejmowała mu twarz, oczy, czoło. Byłem szczęśliwy, że to tak, że tak właśnie z dumą... Że Rozłucki... Czuję, jak wielką swoją wolą zmieniał się w nieczulego trupa, jak się przeistoczył w coś innego :

Rzekł: — *Zdorowo rebiata!*

— *Zdrawcia żelajem waszemu blahorodju!* — zawrzęsnały żołnierze plutonu, jak jeden człowiek.

Podszedł Jewsienko, żeby mu oczy zawiązać. Odepchnął go oczami. Feldfelbel odszedł, Przycisnął tedy do serca ową małą fotografijkę, zamknął oczy. Uchyliły mu się usta od wyższego, pięknego uśmiechu. Zamknąłem i ja oczy... Przypadłem piersiami do ściany. Czekam, czekam. Nareszcie — *tarrach!*

Geometra Knopf zdjął czapkę i coś tam suchemi wargami do siebie szeptał. Guńkiewicz grzebał patykami w popiele ogniska, jakby pragnął pozakopywać sowite, pijackie łzy, kapiące z jego oczu.

Zapanowała cisza. Wołały się echa po leśnych górach...

Wtem pisarz gminny zwrócił się do generała z pytaniem:

— Proszę też łaski pana generała, a gdzie na przykład jest teraz ten mały syneczek, ów wtedy sześćioletni Piotruś?

— A tobie to na co wiedzieć, gdzie on? — grubańsko i twardo odpowiedział generał.

— Ciekawość mię wzięła wiedzieć, czy się też spełniła ostatnia wola i rozkaz onego powstańca?

— Nie twoja to rzecz i ty o takie rzeczy nie śmieję mnie pytać — słyszysz!

— Ja się też odrazu dorozumiałem — odrzekł pisarz, patrząc swemi szelmowskimi oczami, z bezczelną drwiną prosto w oczy starego generała — ja się też odrazu dorozumiałem, że z tej twojej ostatniej woli, mój ty «kapitanie Rymwidzie», tego się djabęł musiał uśmieć.

Kornel UJEJSKI.

Kornel Ujejski jest jednym z cenniejszych poetów polskich. Urodził się w r. 1823 we wsi Beremnianach, obwodu Czortkowskiego w Galicji. Zawód poetycki rozpoczął genialnym utworem: «Skargi Jeremiego». Następnie napisał «Kwiaty bez woni», «Zwiędłe liście», «Maraton», «Pieśni Salomona», «Melodje Biblijne» i wiele innych utworów, które mu sławę ustaliły. Odznaczył się również jako krytyk literacki.

MARATON

Wstęp

Wy chcecie pieśni! — wy chcecie pieśni
Zapewne dźwięcznej i słodkiej dla ucha,
A ja mam dla was, o! moi rówieśni,
Pieśń, co przypomni wam pobrzęk łańcucha.

Wy chcecie pieśni ni kwiatu do wieńca,
Coby wśród uczy mogła was pochwalić,
A jabym pragnął wam w ogniu rumieńca
Rozmiękle dusze jak zbroję ostalić.

O! żal się Boże — tak młode pachole,
Zamiast miłować, muszę nienawidzić,
I jasne czoło omarszczać w mozole
I czyste usta wykrzywiać — i szydzić.

Wciąż się szamocę szukając sposobów
Jakby was zmeźnić, — wszystkie drogi mylnie!
A więc z pochodnią wstąpić chcę do grobów,
Na jaw wygrzebię czyny podmogilne.

Dawnych olbrzymów przed wami postawię
I z niemi wskreszę stary świat zamary,
Może choć wtenczas przy waszej niesławie
Z wstydem przyznacie, że jesteście — karły.

Może choć wtenczas, stojąc na pręgierzu
Przed sądem świata, przed własnem sumieniem,
Przyznacie sami, że rdzę na puklerzu
Można zmyć tylko własnej krwi strumieniem.

Cierpka to mowa, — jak krew spiekła czarna,
Ale w niej skryta myśl zbawienia leży;
Wszak wicie bracia! że z cierpkiego ziarna
Dąb rozłożysty pod niebo wybieży.

I

Ha! Sardes gore! A spowity w dymie
Gnuśny mieszkaniec snem rozkoszy drzymie,
I osmalone nim przetarł powieki,
Już go objęły złote ognia rzeki,
Już nieprzyjaciel stopą pierś mu tłoczył,
I nóż ocierał, co się w niej obroczył...
Ha! Sardes gore! lament się rozrasta,
Ha! Sardes gore!...

Z płonącego miasta
Wybiegł niewolnik, a za nim w pogoni
Jęk konających przy uchu mu dzwoni,
I leciał nocy osłoniony mrokiem;
Czasem za siebie rzucał trwożnem okiem,
A wiatr przez góry za nim żarem dmuchał
I wrzask niósł z sobą. On stanął i słuchał:

Może mu teraz wróg braci wyrzyna,
 I starą matkę napawa krwią syna,
 I chatę niszczy ogniem i żelazem — ?

— Hej, niema czasu! Z satrapy rozkazem
 Pędź dalej gończe! Jeszcze drogi wiele!
 Gdy wrócisz, trupów policzysz w popiele. —
 Zerwał się goniec znękany boleścią,
 Ruszył przez puszcze z nakazaną wieścią,
 I biegł tak skoro aż do wschodu słońca;
 A gdy na czatach zszedł innego gońca,
 «Hej, Sardes gore! Do Suzy! Do Suzy!»
 Krzyknął i wrócił; a tamten przez gruzy
 Jak struś popędził, rozwinąwszy skrzydło —
 I znikł przed słońcem, jak noce straszydło.

II

Suza, wiosenna królewska stolica,
 Jako wybrana młoda miłośnica,
 Rozpieszcza pana; o, bo jej kochany
 Zateśkni w lecie do swej Ekbatany,
 A stamtąd w zimie mknie do Babilonu;
 A gdy się skłoni do wiecznego schronu,
 W Persepolisu skałach grób wyrąbie,
 I na wiek wieków uśnie w katakombie.

W Suzie, na dworze, król Darjusz ucztuje;
 Sto cudnych dziewie jemu usługuje,
 Sto niewolników na klęczkach się wije, —
 On innej wody przy stole nie pije,
 Tylko z Choapsu dalekiej krynicy,
 A chleb je tylko z eolskiej pszenicy,

A wino jego, to aż z Chalibanu,
Sól z puszczy Afryki, ze świętego chramu
Zewsa-Ammona. Bo każda kraina
Pod jego ręką żelazną się zgina,
Co ma najlepsze, z drugimi pospołu
W pokorze znosi do pańskiego stołu.

A gdy tak Darjusz rozlecił się za stołem,
Przybieżał goniec, i padł przed nim czołem,
I woła: « Panie! Sardes, Sardes płonie!
Sardes to klejnot w twej złotej koronie,
A oto rokosz podnieśli Jończycy,
Sprzymierzeńcami są im Ateńczycy,
I palą miasto! »

A drugi nadbieży,
I woła: « Panie! Sardes w gruzach leży!
Ateńczyk spalił zamek i świątynie,
Winem napelnia święcone naczynie,
I tobie, królu, przy uczcie urąga! »

Król wściekły gniewem wielki łuk naciąga,
I w błękit nieba wypuszcza zeń strzałę
Z prośbą do Bogów, aby tę zakalę
Krwcią obmyć dali. I jednego sługę
Odstawił, aby każdą rwiącą strugę
Wrzawnych uczył jego łamował wykrzykiem:
« Pomnij się, Panie, mścić nad Ateńczykiem! »

A potem Magów rozkazał przywołać
I pyta: « Grekom godzien też podolać?
Naród to wielki, gdy taki zuchwały ».
A oni rzeką: « Królu! kraj ich mały,
I w mniejsze jeszcze rozerwany państwa;

Łatwo go w jarzmo zakować poddaństwa.
 To szczypta ziemi, tyle co zatrzyma
 Przechodzącego podeszwa olbrzyma.
 A gdybyś kazał ostremi pazury
 Rozerwać stare Babilonu mury,
 To mógłbyś, Panie! żwirem i kamieniem
 Zasypać kraj ten cały z pokoleniem ».

Magowie prawdę mówili ci, królu.
 Naród to mały, lecz jak pszczoła w ulu,
 Każdy z osobna o swym domu radzi,
 A gdzie potrzeba, wszystek się gromadzi.
 O kraj to mały — tyle co zatrzyma
 Przechodzącego podeszwa olbrzyma;
 O kraj to mały, niby szyba tarczy;
 Lecz na grób wrogom przecież go wystarczy!

III.

W Atenach wrzawa! Perscy heroldowie
 Stoją na rynku i w nieznannej mowie
 Coś cizbie głoszą. Nikt ich nie zrozumiał.
 Jeden Grek tylko, co po persku umiał,
 Wstąpił na kamień i zaczął tłumaczyć
 Na język swojski; a miało to znaczyć:
 « Darjusz król Persów i Medów, pan świata,
 Na harde ludy plaga i zatrała,
 Zsyła heroldów, by mu wasze plemię
 Na znak poddaństwa dało wodę, ziemię;
 A może da się pokorą przebłagać,
 I wstrzyma rękę, co ma Greków smagać ».
 Za każdym słowem lud jako lew mrucał,

A potem śmiechem szyderczym zahuczał,
Plwał w oczy Persom, szaty im rozdzierał,
Ciskał kamieniem, — Pers z trwogi umierał,
A lud jak rzeka ogromna w wylewie,
Rwał ich ku sobie — szalał w wściekłym gniewie,
I włókł ich drżących aż za miasta bramy.
Tam między skalne przepaści rozłamy
Wtrącił heroldów, i w ciemnię głęboką
Puścił za nimi w ślad ciekawe oko;
W dzikiej radości aż zębami zgrzytał,
Widząc jak Pers się po urwiskach chwycił,
I czepiał cierni, i okrwawiał ręce,
I wyl jak szakał w przedśmiertelnej mece.
A potem — ścichło, — potem jęk : o skały
Już się ich czaszki w bryzgi roztrzaskały;
A lud zaciekły, zemstą rozjuszony,
Szydził, nad jamą stojąc pochylony :
« Tam podostatkiem i ziemi i wody!
Jedzcie i pijcie! ».

Temistokles młody

Wystąpił z tłumu, i rzecze : « Ojcowie!
Słuszną ponieśli karę heroldowie ;
Lecz między nami jest Grek winowajca ;
Niechaj więc ginie jak oni, jak zdrajca !
Niech więc i tego nie ominie kara,
Co plugawemi wyrazy barbara
Dziś do niewoli wzywać nas się ważył.
Ojcowie! on nam język nasz znieważył!
On jego świętość pokalał i zbrukał,
Na hańbę naszą słowa w nim wyszukał.
Od kiedy przyszła z Olimpu ta mowa,
Jeszcze tak w niej się nie wiązały słowa ;

On nierozważnie o jej męty trącił,
I czyste źródło mowy naszej zmącił ».

A w całym tłumie jeden okrzyk słynie :
« W przepaść z nim! w przepaść! Niech
ginie, niech ginie! »

I ciągną Greka; — on błaga ze łzami,
Żeby go razem nie grzebać z Persami,
Żeby nie mieszać jego wolnych kości
Z kośćmi sług podłych. — W oznakę litości,
Dwaj przyjaciele i bracia najszczerzi
Własną mu ręką rozplatali piersi.

On błysnął okiem w bezmownym podzięku
I upadł trupem bez skargi, bez jęku.

IV.

Z czterech stron świata ciągną się zastępy,
Z czterech stron świata zlatują się sępy,
Medy z Egiptem, Pers z Indjanami,
A Artafernes i Datis wodzami.
Az wicher się zrywa od wiania buńczuków,
I gwar powstaje od pochrzęstu łuków
Od końskich kopyt ziemia poczerniała,
Tak wielka koni i ludzi nawała.
Możnaby niemi podbić cały świat ten,
A tam krzyk tylko: « Do Aten! Do Aten!! »

I mają rozkaz surowy wodzowie,
Żadnej ateńskiej nie przepuszczać głowie,
I wiele, wiele przysposobić łuków —
Tyle w Atenach wezmą niewolników.

Ciągną szarańczą. Z pięknego Miletu
Zostały jeno ogryzki szkieletu.
Na szyjach niewiast szzerbiły się miecze.
Chodzono w zakład, kto więcej wycieczce.
Naxos w płomieniach, nad nią dymy w chmurach;
A starce z działawą chronią się po górach.
Morska Eubea w perzynie osiadła;
Harda Eretria do ziemi przypadła;
A cała Grecja struchlała i zbladła.

V

W Atenach trwoga; lud tłumem się zbiera,
Milczy i smutnie po sobie spoziera.
Wierny swój naród opuściły bogi,
I do wyboru dały mu dwie drogi:
Łańcuch i hańba — lub śmierć i mogiła!

A jedni szepeczą: « Nieprzyjaciół siła!
Na cóż się przyda ofiara i męstwo? »
A drudzy krzyczą: « Śmierć albo zwycięstwo! »
Śród nich Milcjades jak zesłannik bogów,
Jak ona Pitja z delfickich trójnogów,
Słowem podźwiga zwątpiałego ducha.
Lud go otoczył — zwiesił skroń i słuca.

« Kto chce być sługą, niech idzie, niech żyje,
Niech sobie powróż okreści o szyję,
Niech własną wolę na wieki okielza,
Pan niedaleko, — niech do niego pełza,
I tam głaskany, a potem wzgardzony,
Niechaj na progach wybija pokłony,
Niech jak pies głodny czolga się bez końca
Za pańską nogą, która nim potęca.

A my zostańmy! My w nieszczęściu razem!
 Albo wytepm wrogów tem żelazem,
 Lub za najświętszą wielkich bogów wołą
 W grobie się wolni schronim przed niewołą.
 Na naszej skroni tylko z laurów wieniec,
 Lub bladeść trupia, — nie wstydu rumieniec!

Wy się trwożycie tą liczbą ogromną,
 I tą przemocą, co się zda niezłomną? —
 Cóż jednak znaczy taka ćma motłochu,
 Wyległa z prochu, czolgająca w prochu,
 Którą do boju popędzają biczem,
 Aby nie pierzchła przed wolnych obliczem.

Jakąż nad nami może mieć przewagę
 Zgięty niewolnik, którego odwagę
 Nikt nie ocenia, co bez łez umiera,
 A gdy zwycięży, całą sławę zbiera
 Żelazna ręka, co go w bój wypycha,
 A którą prawo nie włada, lecz pycha.

A nas? Nas wielkich praocjów posągi
 Do świetnych czynów wzywają, jak ongi,
 Długim szeregiem ogrodziły rynek,
 Ażeby sądzić każdy nasz uczynek,
 Aby nas gromić marmurową twarzą,
 Jeżeli wrogi ziemię ich znieważą.

A nas, nas wszystko do boju porywa,
 Każda piędź ziemi mogiłami żywa,
 To jasne niebo, co niesie w obłoku
 Cienie poległych, widne duszy oku,
 I cała przeszłość, ta przeszłość wiekowa,

Co w swoim łonie tyle sławy chowa!
Bogowie z nami! jedno nasze ramię
Tysiąc najemców zgruchoce i złamie.
Bogowie z nami! Oni nas prowadzą!
Oni nam siłę Tytanów nadadzą!
Niechże nas wspiera ich błogosławieństwo!»

A lud wykrzyknął: « Śmierć albo zwycięstwo! »
I wśród radości, weselnych okrzyków
Posłał do Sparty i do Platejczyków
Prosić pomocy!

Odmówiła Sparta;
Bo jej zabrania święta ustaw karta,
Co jest wyrocznią przy wszelkim obrządku,
Na bój wyruszać w księżycą początku.
Ale Platea, nie bacząc na gwiazdy,
Przysłała zbrojny hufiec dzielnej jazdy.

VI

Nad Maratonem

Wzniosło się niebo zarzewiem czerwonym.
Nad Maratonem przeciągają sepy,
Siadły na skałach i dziób ostrzą tępy.
Bijąc skrzydłami niecierpliwie kraczą,
Rychło też ściervo na polu obaczą.

A przeciw Persom stoi garstka ludzi.
Persom się zdaje, że ich oko ludzi;
A gdy poznali istotę zjawiska,
Zagrzmiał w ich szykach śmiech urągowiska.

Med pomrukuje : « Szaleni ! Szaleni !
Jeden na tysiąc ! my niewyciężeni ! »

Greccy wieszczkowie dobrą wróżbę głoszą ;
I na znak dany miecze się podnoszą,
Noga w przód sunie, mur się tworzy z tarczy ;
Od strony Medów już milion strzał warczy,
Już się zbliżają, już ku sobie biegną,
Szczęk, jęk, kurzawa...

Niech ich bogi strzegą !

VII

W Atenach pusto. Kto mógł miecz podźwignąć,
Już ojca swego w boju chciał wyścignąć.
W nagłej potrzebie, dla kraju posługi
Rzucano skarby, warsztaty i plugi ;
Nawet swych mędrców uczniowie odbiegli,
I za kraj może w tej chwili polegli.
I każdy ziszczał nie słowem lecz czynem,
Że niewyrodnym był ojezyzny synem.

W Atenach pusto. Śród obszaru miasta
Pozostał starzec, ślepiec i niewiasta.
A kto mógł, patrzył w trwożnym niepokoju,
Czy nie obaczy co od strony boju.
Nic, nic nie widać ; i słońce zagasło,
I gwiazdy... Cyt — cyt ; coś w pobliżu wrzasło...
Prędkimi kroki ktoś po bruku bije,
I woła : « Tchu ! Tchu ! Głosu ! Grecja... żyje !
Cześć ! Cześć !... Milcjades !... Tchu !... Zwycięstwo z nami ! »

Kobiety z domów wyszły z pochodniami...

Z gałązką lauru Grek ulicą bieżył,
I padł wołając: «Zwy—cięstwo!» — Już nie żył.
A lud się ciśnie, podnosi mu głowę,
Rozrywa zbroję; — całe ciało zdrowe!
Ni śladu rany.

VIII

Na pobojuwisku
Po całodziennem morderczem igrzysku,
Po krwawym trudzie, po stoczonej wojnie
Tysiące ludu usnęły spokojnie.
Grecy z Persami na jednym posłaniu,
Leżą bez gniewu w wiecznem pobrataniu.
Aprzy nich kruki skaczą i godują,
I schryptym głosem braci swych zwolują.

Z jednego Greka kruk ciało wyrywa,
Grek konający tak do niego śpiewa:
«O szarp, szarp serce, niechaj już umiera!
O pij, pij, kuku, krew to bohatera!
Szarp, pij, a dziób twój jak ramię urośnie!»

Niewiasty greckie śpiewają żałośnie,
Nad każdym trupem chylą się z kagańcem,
Czy okrytego nieprzyjaciół szanćcem
Nie ujrzą ojca, kochanka, lub męża...

Wschodzący księżyc bije w lustr oręża:
To Sparta idzie — obaczyć ciekawa,
Gdzie się toczyła Aten walka krwawa,
Gdzie Med okrutny, co swę straszne imię
Obwieszczał Grekom w krwi, w pożarów dymie, —
Teraz bezwładny snem spokojnym drzymie.

r. 1844.

Karol SZAJNOCHA

POWIEŚĆ O NIEWOLI NA WSCHODZIE

(Dalszy ciąg)

Zamieszkałych we Lwowie Tatarów oskarżano o częstą kradzież chłopców i dziewcząt, które następnie sprzedawali do Krymu. Gdyż równie jak dziewcząt potrzebował mahometanizm także niezliczonej ilości niewolnych chłopców. Obojej płci niedorostkom groziło ustawiczne niebezpieczeństwo jasyru, i nad oboją też młodzieżą nieszczęśliwych wschodnio-południowych stron Polski wisiała ciągła trwoga tatarska. Co starożytnie podania gminne opowiadają o smokach, porywających w pewnej okolicy coroczne daniny z chłopców i dziewcząt, to na całym południowym pograniczu Rzeczypospolitej iściło się bez przerwy w stokroć sroźszej od podań rzeczywistości.

Długoletnia praktyka porywania młodzieży w ziemiach sąsiednich obeznała Tatarów najdokładniej ze wszystkimi fortelami i sekretami ohydneho rzemiosła. Wyuczywszy się z niezmierną sztuką rozpościerać siatkę zagonów po całym kraju, umiano także wybierać najlepszą porę do łowienia sielskiej młodzieży. Była to jesienna pora odpoczynku po żniwach, kiedy lud wiejski po zwyczaju odprawia najliczniej swoje wesela. Tłumnie wówczas około nowożeńców zgromadzająca się młodzież obojej płci bywała najulubieńszym przedmiotem wypraw pogańskich. Nie raz też nagłym w takiej porze napadem wtargnąwszy na Podole lub Ukrainę, uprowadzało pogaństwo po kilkadziesiąt, czasem po 70 wesel z całą zgrają druzek, družbów i swatów. Ileż to natenczas młodzi chrześcijańskiej, ile niewolnic haremowych, ile małżonek spahów i janczarów uboższych, ile służalców serajowych, rozchodziło się po całym Wschodzie! Czego obawiając się, uczyła się młodzież sielska wzajemnie czuwać pilnie nad sobą, uciekać się podobnie do różnych fortelów ostrożności, i tak np. kiedy bywało nadbiegną słuchy o niedalekim napadzie Ordy, zbierali się chłopcy i dziewczęta każdej wsi ukraińskiej w jedną wielką gromadę, i spędzali nocy na czuwaniu i śpiewach w pośrodku sióła, gotowi do ucieczki za najpierwszym znakiem niebezpieczeństwa.

Wszakże wszelkie środki ostrożności prywatnej i publicznej nie zdołały dać odporu sprzymierzonej potędze oręża i zwyczaju muzułmańskiego. Szabla pogańska torowała drogę rokrocznym najazdom łupieskim na ziemię polskie, a zwyczajowa potrzeba niewolnic i niewolników mnożyła tysiąciami sposo-

bami pożądaną ilość towaru. Płynęły więc, niestety, bez przerwy roje brańców polskich na Wschód, szły w niewolę zarówno tłumy dziewcząt i chłopców. Dziewczęta za kratami haremów tęskniły jeśli nie po utraconej na zawsze strzesze rodzinnej, tedy przynajmniej do podobnego losu jaki padł ich ziomek Chasęki Churrem. Chłopcom otwierał się zawód sułtańskich iczoglanów i adziamoglanów, czyli poturczonych wychowanków większego i mniejszego seraju.

Z tych urastali później urzędnicy i żołnierze turcecy wszelkiego stopnia, niekiedy faworyci cesarsey i najwyżsi żarliwi służalcy swojego pana i nowej wiary. Prawie też wszyscy bohaterowie osmańscy wyszli z takich w dziecięctwie lub później poturczonych jeńców chrześcijańskich. Pomiedzy dziesięciu wielkimi wezyrami przesławnych w historii ottomańskiej rządów Solimana I-go było ośmiu renegatów, a wraz z wszechwładną cesarzową Rusinką słygnęło u jego dworu kilku najznamienitszych baszów pochodzenia ruskiego, mianowicie Hassan basza, wielkorządca Jemenu, i eunuch Dzafer-basza. Zamiast nieznaney ich historii możemy podać nieco dokładniejszą wzmiankę o innym w podobny sposób wywyższonem chłopięciu polskiem, które bardzo krwawo przypomniało się swojej dawnej ojczyźnie.

*
*
*

Był to potomek szlacheckiej rodziny Białoskórskich klejnotu Habdank, osiadłych za króla Stefana w ziemi lwowskiej. Porwanego dzieckiem w pierwszych latach panowania Zygmunta III uprowadzili Tatarzy do Krymu, i wychowali go tam w wierze i obyczajach mahometańskich. Urosłszy w lata, zna-

laż się młody pojmaniec w służbie najpierwszego po chanie księcia krwi tatarskiej Gałgi, czyli następcy chańskiego Dewlet Giraja, głośnego u Polaków z wielu srogich wypraw na Polskę. Gorliwość i uzdolnienie zjednały młodemu Białoskórskiemu tak dalece przychylność Gałgi, iż został najwyższym zarządcą jego dworu, zastępcą pana w sprawach domowych i wojennych.

Wtedy zbisurmaniony potomek Habdanków zaczął łupieskimi najezdami trapić południowe granice polskie, i wielokrotnie przed r. 1617 pustoszył włości Podola i Wołyńia. Najboleśniej atoli upamiętnił się w tej mierze początek r. 1617, kiedy nadzwyczaj tęga zima zamrożeniem rzek i bagnisk ułatwiła wyprawę Białoskórskiemu. Wpadł z liczną hordą w ziemię ojczyste, i założywszy kosz u Sułżyniec, rozpuścił w koło zagony. Wszystek kraj od Międzyborza aż do Zinkowic i Sałanowa uległ okropnemu zniszczeniu. Obracając w perzynę dwory i chaty, kazał srogi poturnak brać osobliwie jak najwięcej chłopów i dzieci.

Na wracającego z niezmiernym łupem uderzyły nie hufce polskie, lecz straszne mrozy. Największą część pędzonych w niewolę chłopów i dziewcząt wymarzała w drodze do Krymu. Jakie były dalsze losy Białoskórskiego, nie wiemy. Tylko poeta mógłby nam opowiedzieć do jakich scen wiodło nieraz spotkanie się młodego Białoskórskiego w Krymie lub najechanej ojczyźnie z tym i owym znajomym lat dziecinnych. Nie obudziłoż się w nim natenczas wspomnienie lat dziecięcych? Nie uderzyłoż mu serce chęcią zerwania więzów ohydnych, powrotu do pierwiastkowej kolebki swojej?

Przypomina się też w istocie ustęp z poety współczesnego, dający odpowiedź na zapytanie podobne. Ale jakże to smutna odpowiedź i jak smutne zdarzenie, które do niej było powodem. Oto bawi w Carogrodzie świetne poselstwo polskie, wyprawione tam w kilka lat po napadzie Białoskórskiego na Międzybóż. Pan poseł wizytuje baszów przedniejszych i jest właśnie w odwiedzinach u jednego z wezyrów imieniem Halil Basza. Obecni posłuchaniu Polacy widzą w baszy niezwykajnie czerstwego starca, siedzącego na złocistych poduszkach. Cała sala gościnną roi się tłumem służebnych czauszów, spahów, kapidżich. Przy boku baszy grono iczoglanów czyli pokojowców tureckich, złożone w znacznej części z poturczonych wyrostków chrześcijańskich.

Wiedząc o licznej młodzieży polskiej pod zawojem pogańskim, przypatrują się Polacy uważnie twarzom tureckim, azali nie dostrzegą jakich rysów znajomych. I nie napróżno wodzą okiem dokoła. W otaczającym baszą tłumie tureckim więcej może rodowitych Polaków, niż w asystencji obecnego tu posła polskiego. I cóżto nawet za imiona polskie dworują Halilowi! Toć ów młodzieniec w orszaku iczoglanów to porwany w dziecięctwie Kalinowski, ów młody spah czyli żołnierz w jeździe cesarskiej to poturczony Chmielecki, owi dalsi iczoglanowie i spahi to inna szlachta polska. A jednogłośnie z czuwającym tu nad baszą Kalinowskim urzęduje w Polsce późniejszy hetman polny koronny Kalinowski, tylokrotny wojownik z pohańcami, a w końcu ich ofiara katowska. Jednocześnie z poturczonym spahą Chmieleckim słynie na całą Polskę nieśmiertelny Stefan Chmielecki, uwielbiany w pieśniach pogromca pogan. Przy współ-

nej z nimi krwi mogły wasze serca młodzieńcze, biedne jasyru pogańskiego ofiary, pozbyć tajemnego pociągu do swego gniazda, pozbyć miłości progów ojezystych i braci ukochanej?

Zadaje **sobie** to pytanie przypatrujący się iczoglantom Halilowym poeta polski Twardowski i odpowiada sobie ponuro: «Próżna nadzieja! Niemasz tam już miłości, gdzie w wierze zaszła odmiana.»

Oprócz tego westchienia poety, oprócz owej wzmianki kronikarza o napadzie na okolice Zinkowiec i Międzyboża, nie wiemy nic więcej o Kalinowskim, Chmieleckim, Białoskórskim. Po dwóch innych ofiarach plonu u pogan i osobliwszych zmian fortuny w tym plonie, nawet imiona nie pozostały. Dowiadujemy się o nich jedynie z kilku nawiasowo rzuconych słów w jednym z współczesnych pamiętników, skreślonym przez uczonego dworzanina z Zamościa Żurkowskiego. Od imienia autora nazwiemy obydwuch pojmańców Żurkowskimi.

Porwano panów Żurkowskich w niewolę najprawdopodobniej podczas wyprawy Jana Zamojskiego do Multan w roku 1595. Siedmdziesiąt tysięcy tatarstwa walczyło wtedy bezskutecznie ze szczupłym wojskiem wielkiego założyciela Zamościa, urywając tylko jeńców codziennie. Do znacznej liczby szlacheckiego i nieszlacheckiego plonu, uprawianego temi czasy w częstych zagonach ordy, przybyło teraz niemało brańców multańskich.

Współ z wszystką wcześniejszą i późniejszą współbracią niedoli krymskiej powędrowali i panowie Żurkowscy zwyczajnym sposobem na troku do Perekopu, skąd po daremnie wyglądanym okupie sprzedano ich dalej do Carogrodu. Tam znaczniejsi jeń-

cowie szli pospolicie do Jedykuły, po polsku Czarnej Wieży, aby w niej czekać ostatecznego wyroku woli sultańskiej albo nadesłania ogromnego okupu z Polski. Ubogich panów Żurkowskich pomieszczono w tłumie jeńców zwyczajnych, u wiosła na galerach tureckich.

Ze wszystkich losów niewoli pogańskiej było los najstraszniejszy. Upadały pod nią tysiące a tysiące naszych ofiar jasyru. Używane niegdyś galery miały postać ogromnych łodzi, których pośrodkiem ciągnęło się powzdłużne poddasze dla osady. Przeznaczeni do wiosłowania niewolnicy przykuci byli w dwóch rzędach z obojej strony łodzi, po pięciu przy każdym wiosle, po dwustu u pięćdziesięciu wiosel każdego statku. Obnażeni do pasa musieli wszyscy za danym znakiem rzucać się biodrami w tył na wiosła, i tylko z niezmiernem wyęzieniem zdołali nadać wiosłom w ten sposób ruch należyty.

Galery takie bywały jedynymi statkami wojennymi owego czasu, a w każdej bitwie pierwsze strzały wymierzano do wiosel. Nikt też oprócz niewolników nie dawał używać się do służby wiosłarskiej na galerach, co w dalszem następstwie pociągało za sobą potrzebę tem większej liczby ludzi niewolnych. Przy ciągłej zaś wojnie morskiej u Turków, przy niezmiernej liczbie uzbrajanych ku temu galer, ileż nieszczęśliwych ofiar jasyru spotrzebowali Turcy u swoich wiosel przez długie lata, ile porwanych ziomków naszych ginęło tam rokrocznie bez żadnej wieści!

Zagrożeni podobnym losem Żurkowscy zasługiwali za wszystkimi współtowarzyszami swoimi na tem większe uznanie nasze, ile że niewymownie

ciężka ich dola była oraz wysokiej zacności duszy świadectwem. Należało bowiem każdemu niewolnikowi chrześcijańskiemu przyznać się tylko do gotowości przyjęcia wiary mahometańskiej, aby otrzymać uwolnienie od więzów i zostać swobodnym obywatelem tureckim. Jakoż sami panowie Żurkowscy znali nie mało ziomków, którzy na tej drodze uniknęli katuszy na galerach, a nawet czasem wrócili do ojczyzny.

Przypominał się np. w tej liczbie pan Jakób Korytnicki, znany temi czasy szlachcic z Pokucia, który chcąc pomścić brata zabitego od Tatar, dostał się sam w niewolę krymską, a następnie kupnem w turecką. Dla uniknięcia galer zbisurmanił się nieszczerze pan Korytnicki, a znalazłszy niebawem sposobność do ucieczki z ziemi pogańskiej, powrócił szczęśliwie do ojczyzny i umarł w religji chrześcijańskiej.

Ale biedni Żurkowscy nie chcieli ani pozornem ocalić się odstępstwem, a nie przybywał też żaden z owych aniołów lub Świętych Pańskich, którzy jak niżej obaczymy wyzwalali niekiedy cudownie z więzów pogańskich. Dźwigali tedy po chrześcijańsku swe jarzmo, wiosłując na galerze cesarskiej i chyba tylko od śmierci oczekując zbawienia.

Po kilkunastu latach niewoli kazano im jednego razu wiosłować z Carogrodu na greckie morze. W towarzystwie trzydziestu galer wypłynęli Żurkowscy pod naczelnictwem samegoż Kapudan Baszy na wyprawę wojenną do małej Azji, przeciw wybuchłemu właśnie powstaniu Druzów. Przedewszystkiem chciano udać się do Negroponte dla połączenia się tam z sześćdziesięciu innymi galerami floty

cesarskiej. W pobliżu wyspy Chios wydzielił Kapudan-basza dziesięć galer ze swej eskadry, i kazał im skierować się ku wyspie.

Znajdował się pomiędzy niemi i statek panów Żurkowskich. U przylądku Corvo spostrzegły wysłane łodzie tureckie jakiś nadpływający ku sobie oddział okrętów cudzoziemskich. Była to eskadra ośmiu galer neapolitańskich, wyprawiona przez wicekróla Neapolu, księcia Ossunę, ku poskromieniu rozbójników morskich w Cylicji. Załoga okrętów neapolitańskich wrzała tak gorącą żądzą boju z jakimikolwiek Turkami, iż bez wahania uderzyła na nieco większą siłę nieprzyjacielską. Wszczęła się krwawa bitwa, która prędzej niż może pragnęli sami Żurkowscy obiecywała im uwolnienie od więzów za pierwszym strzałem.

Tymczasem strzegła ich łaska boża, równie jak strzegła zuchwałę galery chrześcijańskie. Mimo liczbę szczuplejszą odniosły one zupełne zwycięstwo. Siedm statków tureckich zostało wziętych, trzy z trudnością uciekły. Do zabranych należała także galera panów Żurkowskich. Nieprzewidziany ten wypadek zmienił całkowicie ich los. Zwycięzcy chrześcijańscy rzucili się copędzej do rozkuwania niewolników u wiosel, których na wszystkich galerach zdobytych naliczono z radością tysiąc. W miejsce odbitych braci poprzykuwano tyluż Turków do wiosel. Uwolnieni jeńcowie padli w uniesieniu wdzięczności do nóg admirałowi chrześcijańskiemu, który odesłał wszystkich do wicekróla.

Takim sposobem znaleźli się nasi panowie Żurkowscy niespodziewanie w Neapolu. Wicekról tego państwa, książę Ossuna przyjął ich bardzo łaskawie,

ale nie myślał wcale przyspieszać ich powrotu do ojczyzny. Odbici z niewoli tureckiej chrześcijanie przechodzili zwyczajnie na własność swoich wybawców. Podobnie i panom Żurkowskim przyszło pozostać w poniewolnej służbie księcia Ossuny.

Upłynęły im w niej całe trzy lata, i miało zapewne upłynąć nierównie więcej. Lubo w porównaniu z przeszłością wielkiem to było szczęściem, odzywała się przecież coraz głośniejsza tęsknota do stron rodzinnych. Dumając o nich żałośnie, otrzymują nieboracy jednego razu osobliwszy rozkaz od pana. Przynoszą im strój bogaty, i kążą im ubrać się od stóp do głowy w jedwabie i aksamity. Tak przystrojonych, prowadzą dworzanie do sali wicekrólewskiej, w której zastają ucztę wspaniałą.

U stołu pomiędzy dwunastu książętami siedzi wicekról, a przy nim jakiś młodzian dorodny, widocznie Polak. « Jestto syn waszego wielkiego Zamoyskiego » — rzecze do zdumionej szlachty wicekról — « daję mu was w darze obydwuch ». Uszczęśliwieni towarzysze niewoli przypadli z kolei do kolan wicekróla i młodego pana z Zamościa. Z ojcem wyszli niegdyś z ojczyzny, z synem powrócą teraz do niej.

Jakoż stało się to niebawem. Jeszcze tegoż samego roku 1617 zawitał młody Tomasz Zamoyski z kilkuletniej podróży do ojczyzny, a z nim stanęli w niej także obaj wyzwolenicy z jasyru. Hojny syn zmarłego już założyciela Zamościa dopomógł im zapewne do spokojnego spędzenia reszty żywota, czyto pod jego własnym dachem, czy pod odzyskaną przez nich strzechą rodzinną. Bądź jak bądź, dziękowali oni Bogu za terażniejszość i nie lubili wspominać o

przebytym jasyrze. Niewola na galerach nabawiła piętnowania przed zakuciem u wiosła, a taki ślad ręki pogańskiej nie pochlebiał dumie szlacheckiej. Jakoż zaledwie kilka nawiasowo rzuconych słów jednego z uczeńszych dworzan Zamoyskich przechowało pamięć bezimiennych szlachciców, darowanych panu Tomaszowi w Neapolu.

W tym samym czasie kiedy nasi biedni galernicy z Zamościa wiosłowali po morzu greckiem, pływał tam na galerze inny wychowaniec stron naddnieprskich czy naddniestrzańskich, któremu niewola wschodnia dziwnie pomyslnym uśmiechnęła się losem. Jak zwyczajnie bywało, ludziom do znaczenia i dostatków zrodzonym niosła ona nędzę i poniżenie, a wspomniana tu dziwna pomyslność losu spłynęła na chłopię w dymnej chacie zrodzone. Z jego wspomnień rodzinnych tyle jedynie pozostało w pamięci, że był rodem z okolic ruskich i zwał się niegdyś Iwaszkim. W niewolę uprowadzono go zapewne w doroslejszym już wieku, gdyż w latach następnych wymawiali mu Turcy, że późno przyjął wiarę mahomateńską.

Już przed tym pierwszym warunkiem wszelkich zaszczytów i powodzeń na wschodzie zalecała Iwaszka w oczach Turków niepospolita uroda i krzepkość ciała. Takimi zaś przymiotami odznaczający się brańnic bywał na targu niewolników bardzo cennym towarem a temsamem jedynie bogatemu panu dostępnym. Jakoż zaraz w początkach zawodu widzimy Iwaszka własnością jednego z najmożniejszych panów korony ottomańskiej, znanego w historii kurda Dżambulada, rządcy Halebu. W uznaniu nieposłednich zalet młodego brańca przeznaczył go Dżam-

bulad do ważniejszych usług u swego dworu, mianowicie uczynił go podskarbin. Rychło potem przyszła rządcy Halebu ochota podnieść oręż przeciwko sultanowi w chęci wywalczenia sobie niezawisłej władzy nad całą Syryją. Nadszły wojska cesarskie ku poskromieniu buntu, prowadzone przez sławnego wezyra Murada przydomkiem Studniarz. Wybuchła r. 1607 mordereza wojna, w której Iwaszko z całym dworem Dżambuladowym walczył wiernie przy boku pana.

Rozstrzygnęła się wojna zwycięstwem wojsk cesarskich. Większa część armji Dżambuladowej dostała się w niewolę. W liczbie jeńców znajdował się także Iwaszko. Sam wódz powstania ocalił się ucieczką. Temci surowszą zemstę poprzysiął zwycięski Studniarz wszystkim pojmańcom. Urosła mu ta nazwa od przygody w wojnie węgierskiej, gdy zwiędzając jednego razu pobojowisko, wpadł w oslonioną krzakami studnię. Nie chcąc zaś, aby go tylko żartem tak zwano, wprowadził Murad od tego czasu zwyczaj kopania głębokich studzien po każdej bitwie i wrzucania w nie skazanych na śmierć jeńców. Tym razem oprócz grzebania żywcem nakazał wezyr okropne przelanie krwi żelazem. Dwudziestu katów ścinało głowy jeńcom, 26,000 głów spiętrzyło się ogromną przed Muradem mogiłą.

Iwaszko miał ginąć w studni. Zachowała go przy życiu miłosierdzie agi jańczarów Halila. Ujęty powierchownością jeńca, przeznaczył go do własnych usług i wziął z sobą do Carogrodu. Tu na galerze pracując, umiał Iwaszko zjednać sobie coraz większą łaskę nowego pana. Zalecony wiernością i przywiązaniem, zadziwiał przytem wszystkich ogromem i

siłą ciała. Stojąc bywało w szeregu przewyższał wszystkich głową, a najcięższą galere sam jeden odpierał od wybrzeża. Tak okazały i wierny chłop zasługiwał w oczach Halila na promocję. Aby mu ją ułatwić, skłonił go aga do przyjęcia wiary i obyczajów mahometańskich. Przy tejto zapewne sposobności nadane zostało Iwaszkowi mahometańskie imię Abaza czyli Awaza, może dla podobieństwa do przekręconego z turecka Iwaś lub Awaz.

Szczeńciem dla poturnaka postąpił Halilaga niebawem na admirała czyli kapudan-baszę, a później i na wielkiego wezyra. Tak dostojny protektor mógł lada kogo do najwyższych wynieść urzędów. Został też Iwaszko naprzód dowódcą galery, następnie rządcą powiatu Meraasz, w końcu baszą i namiestnikiem prowincji Erzerum. Jako dostojnikowi wolno mu było w najwyższych progach zapragnąć koligacji. Rodzony brat wielkiego wezyra Gurdzi-basza wydał córkę za niego. Sam cesarz Osman II zwrócił uwagę na Iwaszka i umyślił do najsekretniejszych użyć go spraw.

Zamierzał cesarz ukrócić nazbyt wygórowaną władzę jańczarów. W powiernictwo tego zamysłu wciągnięty został Abaza-basza. Tajne w tej mierze porozumiewanie się przez listy z samym cesarzem przywiązało Iwaszka tem mocniej do osoby Osmana. Ale zamysły Osmanowe chybiły celu. Janczarowie domyślili się knowanych przeciw sobie zamachów, a nieszczęśliwa wojna cesarza Osmana pod Chocimem w roku 1621 podała im sposobność do wywarcia na nim swej zemsty. Wybuchło krwawe powstanie, w którym stracony Osman dał gardło. Tenże sam los zagroził wszystkim stronnikom jego zamysłów.

Spółnictwo w nich Iwaszka nie było na szczęście tak jawnem, aby go o niebezpieczeństwo życia przypisać. Kazano mu tylko ustąpić z namiestnictwa w Erzerum i przestać na mniejszem rządztwie w Siwas.

Mógł więc Abaza wieszować sobie dość obronnego wyjścia z niebezpieczeństwa. Szczere jednak przywiązanie do zabitego Osmana nie dało mu cieszyć się samolubnie ocaleniem. Powziął zamiar spełnienia kary na zabójcach cesarza, pierwszego z sultanów tureckich zamordowanego na tronie. Zaczem ogłosił się mścicielem śmierci Osmana i na czele przeciwnych janczarom oddziałów armji wyruszył przeciw nieprzyjaciółom. Wszczęła się głośna w dziejach osmańskich wojna, w ciągu której bawiący w Carogrodzie Polacy słuchali ze zdumieniem pogłosek o wielkich czynach Iwaszka. Dla Turków nizkie i obce pochodzenie Abazy było rzeczą codzienną, powtarzającą się w życiu bardzo wielu bohaterów tureckich. Chyba tyle miano do zarzucenia Abazie, że był późnym muzulmaninem.

Trwała ta wojna od r. 1625 przez lat cztery do pięciu. Czego w niej oręż dokazał było dziełem Abazy; w sprawach rozumu wymagających służyła głównie porada arabskiego szejka Kaszarijelu. Ten to na wpół kapłan, na wpół wróżbita arabski, był duszą postępowania Abazy, a jako sam nie o wiele wyższy od swego ucznia kierował go najczęściej prorocत्वami, mianowicie przepowiadając mu wielkie wezyrstwo. Wszakże mimo wróżby, guśta i 50.000 zgromadzonego w koło siebie żołnierstwa, nie podolał Iwaszko nakoniec przedsięwzięciu. Po różnych zmianach fortuny przyszło mu stoczyć bitwę z sławnym wezyrem

Chosrew, który stanowczo odniósł zwycięstwo. Sam Abaza-basza z całym swoim dworem, haremem, z dziećmi i skarbcem dostał się w moc zwycięzcy.

Takie przecież było szczęście naszego brańca, że nawet ten ostateczny jak się zdało upadek nie zdołał pograżyć go do szczytu. Wprowadzony w tryumfie do Stambułu, pozyskał tam osobistą przychylność sultana Murada IV, a z nią nowe wkrótce urzędy. Najpierw mianowano go namiestnikiem Bośni, gdzie sąsiadując z Węgrami, wchodzić musiał niekiedy w dyplomatyczne stosunki z dworem wiedeńskim. I tak zaraz po zleceniu mu rządów nad Bošnją, odwiedził go w Stambule poseł austriacki, baron von Kuefstein, od którego po raz pierwszy dowiedział się Iwaszko, czem są Wiedeń i Praga. Aż do swego bowiem powołania na rządzącego Bošnją nie zdarzyło mu się słyszeć tych nazwisk, a rozmawiając teraz z baronem, mniemał je zamczkami w pobliskich Węgrzech.

Z namiestnictwa Bośni przeniesiony został Iwaszko na rządy Oczakowa. Tu były poddany Rzeczypospolitej znalazł się w znacznych stycznościach z koroną i panami polskimi. Nieprzewidziany obrót wypadków uczynił go jawnym wrogiem i najeźdźcą własnej ojczyzny. Najważniejsza to zapewne chwila w osobliwszem pasmie przygód wychowawca strzechy wieśniaczej z nad Dniepru lub z nad Dniestru. Jednocześnie ze zwycięską wyprawą króla Władysława IV do Moskwy w r. 1633, postanowił cesarz turecki Murad IV pomścić klęskę chocimską i uderzyć na Polskę. Główne naczelnictwo wyprawy poruczono Abazie baszy, najbliższemu sąsiadowi granic koronnych. Jakoż rzeczywiście wtargnął on ze zna-

cznem wojskiem do Polski, i w jesieni r. 1633 zaczął pustoszyć okolice Kamieńca Podolskiego.

Ale zamach na własną ojczyznę nie przyniósł bynajmniej chwały Abazie. Przeciw wyrodnie spotężniałemu ziomkowi stanął hetman koronny Koniecpolski, uwieczony świeżem zwycięstwem pod Sasowym Rogiem nad Ordą, i dzielnym oporem w obwarowanym obozie udaremnił wszelkie usiłowania Abazy. Na próżnem płądrowaniu pobrzeży Dniestrowych czas straciwszy, musiał wódz turecki z upokorzeniem opuścić Polskę. Aby zaś jakimkolwiek blichтром okrasić odwrót, uprowadził z sobą kupę wiejskich jeńców obojej płci, o których dziwnym losie w niewoli nadmienimy później pokrótce.

Ten lichy plon orężny mógł Abazę przyprawić łatwo o zgubę. Rozeszła się nawet pogłoska w Polsce, że Abaza za niefortunną wyprawę kamieniecką ukarany został na gardle. Skończył on tak w istocie, ale nie za bezskuteczność oręża w Polsce. Był to zwyczajny koniec wszystkich tego rodzaju bohaterów fortuny wschodniej. Jakby w odwet za nadmiar słońca przez większą połowę życia, uderzał piorun w ostatek dni. A właśnie przed tym piorunem rozpromieniło się niebo najświetniej przed Iwaszkiem. Dziwny tego żywot okazał się najdziwniejszym u schyłku.

Za powrotem z wyprawy polskiej został Abaza niespodzianie faworytem cesarskim. Zamiast marszczyć mu brwi za Kamieniec, nie mógł sułan Murad obejść się bez Iwaszka. Czy to w ogrodach seraju, czy w przejażdżce, czy w ujeżdżalni, wszędzie musiał przy boku być ulubieniec. Jego sposób przypasywania oręża, okręcania zawoju, stały się modą u dworu.

Jego prośby i przedłożenia bywały zawsze mile słuchane. Trwało to kilka miesięcy, od zimy aż do wiosny.

Z wiosną atoli zmienił się cesarz. Podszeptywane mu pogłoski o faworycie zaczęły nabierać wagi. Jednego razu spotkał Abaza jadącego całym dworem cesarza i skromnie ustąpił na bok. «Odbierz mi szablę», — rzecze sułtan do jednego z bostandzych, który natychmiast wypełnił rozkaz. «Alboż nie wiesz — ozwali się do Abazy dworacy — «że w obecności cesarza nie wolno nosić szabli?» Iwaszko zmiarkował odmianę łaski pańskiej, i wróciwszy smutny do domu, wyprawił kilkadziesiąt koni za miasto, aby z nadejściem nocy umknąć do Azji.

W tem o zachodzie słońca woła go cesarz. «Ileżto wzięłeś od Ormian w sprawie grobów jerozolimskich?» — zapyta Murad. «Dwanaście tysięcy» — odpowie przełęczniony Abaza, a wziął w istocie dwadzieścia. To kłamstwo dopełniło miary niełaski. Wyprowadzono go do ptaszarni w seraju, dokąd niebawem nadszedł też wyrok śmierci. «Wola to padyszacha!» rzekł pokornie Abaza, nizając paciorki swego różańca. Nazajutrz odbył się pogrzeb wspaniały. Włożono nieboszczykowi turban wezyrski w trumnę, która w jednym i tym samym grobowcu obok sławnego studniarza trumny stanęła. Mnogie też karty dziejów osmańskich zappełniły się historją obudwuch mężów.

Co tu z historii Iwaszka powtórzone, jest tylko króciuchnym rysem jej treści. Dla współczesnych przecież Polaków nie miała ona najmniejszego powabu. Opisując wyprawę Abazy pod Kamieniec, zbywa go poeta-historyk jednym słowem niechęci.

«Gruby to odszczepieniec. Gdzieindziej więcej o nim wspomniałem.»

W pierwszych latach namiestniczych rządów Abazy w Erzerum zdarzyła się nieszczęśliwa wojna cecorska, nadzwyczajnie bogate żniwo jasyru dla Tatarów i Turków. Najprzedniejszym ze wszystkich jeńców był hetman polny koronny Stanisław Koniecpolski. Niedawno ożenionemu kazał niepomyślny los wojny pożegnać się na zawsze z myślą o domu, rzec się wszystkiego co przypominało dawną świetność i chwałę. Błąkając się niepoznany pomiędzy rozsypaną dokoła pobojuwiska tłaszcą łupieżników wołoskich, zrzucił z siebie dla utajenia osoby wszelkie bogatsze przybory stroju, cisnął w las pierścień djamentowy, ale nie mógł postąpić również z djamentowym krzyżykiem z relikwjami na piersi.

Ten zdradził go oczom drapieźców, którzy kosztowności zabrali, a samego hetmana odstawili srogiemu Iskander-baszy. Za uprowadzeniem przez tegoż do Białogrodu wtrącony został hetman do dziwnie brudnej i niewygodnej turmy. «Pośrodkiem wieży przewleczony był łańcuch wielki, u którego pomykały się na kolcach inne łańcuchy. W taki tedy łańcuch wsadzono hetmana i w okowy. Okienko tylko było małe, którem więźniom jałmużnę podawano.» Po rychłej śmierci Iskander-baszy uwieziono jeńca z tego tatarskiego tarasu do Carogrodu.

Tam niewola pogańska w dodatku do ciężkich cierpień fizycznych dręczyła jeszcze cięższemi niekiedy pokusami. Do przyprowadzonego na dywan więźnia rzecze wezyr: «Obieraj sobie, albo na mu-

zułmańską wiarę przystań, a pan mój da ci zaraz 50.000 wojska. Pójdiesz do Persji, co kosztem pana mojego zdobędziesz, to twoje będzie. Jeżeli tego nie uczynisz, w niewoli żywota dokończysz.» Powiedział na to hetman: «Uczynić tego nie mogę, bo gdybym Panu Bogu i panu memu wiarę złamał, i waszej pewnie nie miałbym wiary.» Na to rzekł wezyr: «Idźże na więzienie wieczne, a to już odemnie grzech odpadł. Nie moja wina, na mnie nie narzekaj.»

Porwali się z dywanu wszyscy, odeszli Koniecpolskiego, a nie wiedział gdzie się obrócić. Niebawem przecież kazał wezyr wziąć go na barękę. Miał za Konstantynopol odwieziono do Jedykuły albo Czarnej Wieży. W tem osławionem na całą Polskę więzieniu zdarzyły mu nieba o wiele znośniejsze życie, niż się obawiał. Siedział w jednej sali z innymi więźniami różnych narodów, którzy wraz z Koniecpolskim otrzymywali kilka asprów żołdu dziennego. Przez dwie godziny na dobę pozwalano im przechadzać się na bani czyli po górnej sali nad morzem; resztą dnia skracano modlitwą, dyskursami albo grą w karty.

Na czas niejaki stała się hetmanowi niemałą rozrywką jakatąka znajomość zegarmistrzowska. Aga tej wieży miał kilka zegarów, z którymi mniej się umiał sprawić. Przyszedł do więźniów, pytał się, jeżeliby który nie miał postawić zegarów. Hetman koronny rzekł: «Gdybym widział zrozumieć». Rad aga kazał mu za sobą iść. Dwa mu ich naprawił. Nazajutrz przywołany do agi znowu mu dwa naprawił, a jeden z wczorajszych umyślnie zastanowił.

I tak kilka czasów wychodził do owych zegarów. Miał swoje refrigerium...

Nieskończenie większą pociechę sprawiła okoliczność następna. Usługujący hetmanowi Turczynek przyniósł jednego razu jakiś kaftan na sprzedaż. Po łatwym targu maca hetman kupioną odzież, i znalazł coś zaszytego. Rozpara i znajduje listy z ojczyzny i tysiąc kilkaset czerwonych złotych, rzędem w szeroką lamówkę wszytych. Jeszcze z Białogrodzkiej wieży powiodło mu się przesłać wiadomość o sobie królowi i przyjacielom, którzy teraz tajną wywzajemnili się odpowiedzią.

Przyniósł ją pewien u dworu królewskiego w Warszawie służący Tatar, skłoniony do tego obietnicą hojnej zapłaty i niechybnej wolności za powrotem z poselstwa. Potrzeba zaś było tak fortelnego znoszenia się z hetmanem, gdyż jako jeden z wodzów podjętej przeciw sułtanowi wojny cecorskiej miał on przeciw sobie osobisty gniew padyszacha, i był wyjęty ze zwyczajnego trybu postępowania z jeńcami, którym pospolicie dozwalało porozumiewać się z krewnymi o wykupno. Owoż donoszą teraz z domu Koniecpolskiemu, iż wyjedzie niebawem wielka legacja z Polski do Turcji, że zalecono będzie posłowi traktować o wykupnie hetmana, przeto jest **wszelka nadzieja** ujrzenia go niebawem w stronach rodzinnych.

Nim to jednak nastąpić miało, ciągnęła się dalej przeszło dwuletnia już niewola w Czarnej Wieży. Jak wszystkie sprawy pogańskie podlegała ona według powszechnego mniemania tysięcznym złudom i pokusom szatańskim, a między innymi «i to nie mała była pokusa» — opowiada blizki krewny het-

mański. «Turkinie mają to z nabożeństwa, że więźnie nawiedzając dają im jałmużnę. Siostra najpierwszego wezyra przyjechała do Czarnej wieży. Obaczywszy hetmana, a on u stolika w karty gra z dwiema, flaszka i kieliszek przed nimi stoi. Minąwszy stolik poszła do więźniów inszych a dobywszy mieszka, rozdawała każdemu po czerwonym złotemu. Przystąpiwszy do stolika, dała i owym dwóm co grali, a do hetmańa cicho rzekła, ukazując swój pełen mieszek: — To twoje i ja twoją chcę być. Hetman wziął kieliszek wina, wypił do niej, ona przyjęła. Wypiwszy zaś obróciła go do dwóch matron, co ją prowadziły pod ręce.

«Gdy te wypily, ona poszła po schodach, oglądając się za hetmanem, który wcale nie śpieszył za nią. Świeże bowiem listy z ojezyny uradowały go wieścią o narodzeniu mu się pierwszego syna w domu. Przy błogiej myśli o żonie i niemowlęciu, uśmiechnął się hetman chrześcijański wzgardliwie na pokusę pogańską, i nalał drugi kieliszek wina, gdy rozkoszna poganka wróciła wkrótce ze schodów, widząc, że hetman nie pośpiesza. Stała na ostatnim stopniu i na nowo wabić poczęła mieszkciem hetmana. On znowuż wychylił do niej kieliszek. Ona przyjęła i poszła po raz drugi na banię. Ale kiedy nie mogła zwabić hetmana, rozgniewana zszedłszy z góry, przeszła mimo nieposłusznego, i plunąwszy o ziemię mieszkciem trzasnęła.....»

Mało co po tych zalotach pogańskich usłyszał Koniecpolski przez ścianę jęki cecorskich spółtowarzyszy niewoli, duszonych w obocznej sali za wyrokiem dywanu. I hetmanowi naszemu mógł lada chwila nadejść takież firman śmiertelny. Więzy bisur-

mańskie zaczęły coraz ciężej przygniatać duszę. Aż na koniec stanął w Carogrodzie oczekiwany poseł z Korony, a z nim przybyli także wysłańcy od rodziny hetmańskiej, wiozący pisma instancjonalne do różnych osób i pieniądze na okup. Po usilnych zabiegach i targach powiodło się wykupić hetmana za 30,000 talarów twardych.

Ponieważ nadesłani z Koniecpola dworzanie przywieźli z sobą lepsze talary kopowe, musiał posługujący od Korony książę Jerzy Zbaraski przydać dla dopełnienia wagi znaczną ilość własnych sreber stołowych. A gdy wychodził z wieży hetman koronny, aga kilka baranów kazał zarznąć na wyjście więźnia polskiego i rozdać pozostałym towarzyszom niewoli. Laskę mu darował z powinszowaniem, aby w dobrem zdrowiu do domu przyjechawszy, z tą laską po swoim chodził ogrodzie, a hetman nawzajem 100 talarów kazał mu dać.

(Dokończenie nastąpi).



SPIS RZECZY

	Strona
1. Polscy oficerowie	3
2. Echa leśne.	13
3. Maraton	29
4. Powieść o niewoli na wschodzie	41

Le Gérant : E. L. WAGNER

Drukarnia I. Rirachowskiego, 50, Bd Saint-Jacques — Paris.

